

ROZDZIAŁ 1

Ilsa

Styczeń 1983 roku

Kiedyś ta chatka nad jeziorem Cotters była moim domem.

Gdy tak stałam, rozglądając się wokół siebie, przeszłość splatała się z teraźniejszością. Wtedy i teraz.

Wtedy.

Trzaskający kominek i miarowe postukiwanie drutów mamy. Zapach cygar i kruchych ciasteczek. Mały salon, ale czysty i radosny. Mała dziewczynka z ziemią pod paznokciami, skulona na kolanach ojca, który czytał jej bajkę.

Teraz.

Kurz unoszący się za brudnymi oknami. Zatęchłe powietrze z delikatnym fetorem truchła myszy. Gdzie tylko spojrzeć, nieopisany bałagan. Podniszczony fotel i puste pokoje pogrążone w ciszy.

Domek taty był mniejszy, niż go zapamiętałam. Miałam wrażenie, że sufit jest zbyt nisko, a ściany są za blisko siebie.

Prawdopodobnie nic w tym zaskakującego, zważywszy na to, że ostatni raz byłam tu w wieku szesnastu lat. W ciągu minionej dekady wiele się zmieniło, jednak wystarczyło,

żebym zamknęła oczy, by ponownie stać się tą małą dziewczynką, skuloną na kolanach ojca.

Moje najwcześniejsze wspomnienie wiąże się właśnie z tą chatą. Z tym salonem. Mogłam mieć wtedy trzy, może cztery latka.

W piecu palił się ogień. Tata rozpałił go dla mamy, zanim wyruszył na jezioro łowić ryby pod lodem, bo mama nie lubiła tego robić — narzekała na drzazgi i zadry pod skórą.

Szyby w oknach pokrywał szron. Kanapę zepchnięto w róg pomieszczenia, żeby zrobić miejsce na choinkę. Razem z mamą przystrajałyśmy ją bombkami, a ona narzekała na niezdolność śnieg.

Właśnie tamtego dnia dowiedziałam się, co znaczy słowo „niezdolność”.

Mama miała zły humor, bo musiałyśmy odwołać wycieczkę na zakupy do Missouli, kiedy zamknęto drogi. Byłam za mała, żeby zapamiętać dokładnie jej słowa, ale pamiętałam sposób, w jaki mówiła o Montanie, bo zawsze tak bardzo kontrastował z uczuciami taty.

On był jak promień słońca. Ona jak mrok. Jego styl życia był dla niej udręką.

Aż do wiosny, kiedy skończyłam sześć lat, kiedy śnieg stopniał, zakwitły żonkile, a mama wpakowała mnie do swojego oliwkowozielonego Oldsmobile’a i porzuciła Dalton.

Porzuciła tatę.

Od tamtej pory była pogodniejsza. Szczęśliwsza. Ale jej radość oznaczała brak jego śmiechu. Ich role się odwróciły — ona rozkwitała. On usychał.

Światło dnia i rozpacz.

A gdzieś pośrodku ja.

Zawsze pośrodku. Aż do teraz. Teraz tata nie żył i nie było już środka, który mogłabym zająć.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, a na przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Ogień, który rozpałałam w kominku, rozgorzał z pełną mocą, ale nie zdołał jeszcze przegonić zimna.

Ostatni raz zimy w Montanie doświadczyłam dwadzieścia lat temu. Zapomniałam już, co oznacza dotkliwie zimno. Z powrotem w Dalton przebywałam od tygodnia, a temperatura obniżała się coraz bardziej z każdym dniem. Mimo to trudno było odmówić tutejszym zimom piękna. Nawet mama nie mogła zaprzeczyć, że pokryta śniegiem Montana wyglądała wspaniale.

Słońce chowało się za postrzępionym horyzontem gór. Jego gasnące światło barwiło świat odcieniami błękitu i fioletu, przez co drzewa wydawały się bardziej koloru indygo niż zielonego. Pod ich pniami podwórze pokrywała gruba warstwa śniegu. Za przystanią rozciągało się zamrożone jezioro.

Kiedyś bardzo kochałam to jezioro. Spędziłam tu niezliczone godziny, pływając, bawiąc się na żwirowej plaży i unosząc się na starej dętce.

Dziwne, że pamiętałam Boże Narodzenie z wczesnego dzieciństwa, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kto nauczył mnie pływać. Czy to był tata? Miałam wrażenie, że potrafię pływać od zawsze.

On też był dobrym pływakiem.

Tyle że nie wystarczająco dobrym.

Znów poczułam ucisk w klatce piersiowej. Odkąd pojawiłam się w Dalton, ból był moim stałym towarzyszem. Większość minionego tygodnia spędziłam, unikając tej chatki i rzucając się w wir nowej pracy w miejscowej szko-

le średniej. A kiedy tu wracałam, chowałam się w swoim dziecięcym pokoju, skulona pod kocami, blokując wspomnienia i zimno. Ale tydzień wegetowania w tym bałaganie wystarczył.

Przyjechałam do Montany, żeby uporządkować sprawy związane z majątkiem ojca. Aby posprzątać tę chatkę i sprzedać ją wiosną. Aby się pożegnać.

Wczoraj zajęłam się kuchnią, a dziś planowałam zlokalizować kanapę w salonie. Była gdzieś zakopana pod górą pudeł, toreb i wszystkich skarbów, które tata gromadził przez ostatnie dziesięć lat.

Kiedy przyjechałam w zeszły weekend, ledwo udało mi się wejść do środka, więc skupiłam się na posprzątaniu najważniejszych pomieszczeń, jak łazienki czy mojej dawnej sypialni, a więc miejsc, które miały umożliwić mi przetrwanie pierwszych tygodni w Dalton.

Co do reszty... cóż, ignorancja nie była najlepszym wyjściem, ale aktualnie stanowiła moje ulubione zajęcie. Tyle że po upływie tygodnia stało się dla mnie jasne, że nie mogę już dłużej ignorować góry rupieci, które mój ojciec zgromadził na tej maleńkiej przestrzeni.

Tata ustawił stosy pudeł niemal pod sam sufit, pozostawiając jedynie wąskie przejścia między pokojami. Przedpokój wciąż był zapchany, głównie rzeczami, które zsunęłam z łóżka, żeby móc położyć się spać.

Czy ten bałagan był karą za to, że nie odwiedziłam taty wcześniej? Jak długo tak funkcjonował?

Niby powinnam się domyślić, ale Ike Poe zawsze stanowił dla mnie tajemnicę, nawet zanim przestałam przyjeżdżać do Montany na letnie wakacje. I skoro odszedł, widocznie na zawsze miał pozostać tajemnicą.

Liczyłam na to, że z tego morza pudeł zdołam się dowiedzieć czegoś więcej o człowieku, jakim był mój ojciec przed śmiercią.

Podeszłam do najbliższego stosu, stając na palcach, by zdjąć pudełko z samej góry. Gdy postawiłam je na podłodze, z kartonu uniosła się chmura kurzu. Cokolwiek było w środku, wydało metaliczny dźwięk.

Rozchyliłam klapki pudełka i zaskoczona spojrzałam na zawartość.

— Puszki.

Puste puszki. Wyglądało na to, że tata żywił się jedynie zupą pomidorową Campbell's i kukurydzą konserwową firmy Western Family.

Odsunęłam puszki na bok, aby się upewnić, że pomiędzy nimi nie ma nic więcej. Potem wyniosłam je na zewnątrz, dodając do rosnącego stosu na zaśnieżonym podjeździe. Kolejne trzy kartony zawierały jeszcze więcej pustych puszek. Dołączyły więc do stosu przeznaczonego na wysypisko.

Kiedy podniosłam piąte pudło, okazało się cięższe od pozostałych, a to z kolei napełniło mnie nadzieją, że nie jest wypełnione puszkami. Moją akcję sprzątania przerwał jednak dzwonek telefonu.

Była niedziela, a w niedziele zawsze dzwonił Troy.

Poczułam mieszanek strachu i ekscytacji — ekscytacji, która wydawała się raczej przyzwyczajeniem niż prawdziwym zainteresowaniem.

Przez całe lata z utęsknieniem wyczekiwałam tych niedzielnych rozmów. Dbałam o to, by bez względu na wszystko być w domu, gdy miał zadzwonić telefon. Uwielbiałam swoją głośność Troya w niedzielny wieczór i pewność, że usłyszę przyjaciela. Mojego najlepszego przyjaciela.

Czy naprawdę byliśmy najlepszymi przyjaciółmi? Na pewno kiedyś, ale czy i teraz?

Może byliśmy dwojgiem ludzi, którzy powinni przestać rozmawiać w niedziele.

Mimo to odłożyłam karton na bok, podeszłam do telefonu i podniosłam słuchawkę.

— Halo?

— Cześć. — Jedno słowo Troya było przepełnione wystarczającą dawką współczucia, by wypełnić tysiąc pustych puszek po zupie taty.

Czy wszyscy pogrążeni w żałobie ludzie dochodzą do punktu, w którym mają cholernie dość współczucia?

— Jak się trzymasz? — zapytał.

— Dobrze — skłamałam.

— Ilso. — Moje imię wypowiedziane tym łagodnym tonem sprawiło, że mimowolnie się zgarbiłam. Znał mnie wystarczająco dobrze, by przejrzeć moje kiepskie kłamstwo.

— Staram się po prostu przeżyć dzień. A potem kolejny. — Podeszłam do najbliższego okna, rozciągając spiralny przewód telefonu na całą długość.

Za zamgloną szybą zapadała noc. Było jeszcze wcześniej, po piątej, ale krótkie zimowe dni oznaczały, że słońce już zaszło, ustępując miejsca długiej zimowej nocy.

Tata mawiał, że nie ma na ziemi miejsca, gdzie po zmroku byłoby tyle gwiazd, co nad brzegiem jeziora Cotters. Może kiedy w końcu umyję te okna, będę mogła je zobaczyć.

— Jak ci minął pierwszy tydzień w Montanie? — zapytał Troy.

— Ciężko. — Jęknęłam. — Ale mam pracę.

— Tak? To super. I jak ci idzie?

— Cóż, nie jestem do końca pewna, co robiła poprzednia nauczycielka z tymi dziećmi, ale na pewno nie uczyła ich matematyki.

— Aż tak źle?

— Gorzej niż źle. Zrobiłam wszystkim powtórkę z całego materiału z pierwszego semestru. Zdała tylko połowa uczniów z trzeciej i czwartej klasy. Jedna trzecia z drugiej klasy. A z piętnastu pierwszoklasistów zaliczyło tylko dwóch chłopaków. I kiedy mówię „zaliczyło”, to mam na myśli, że użytkali po siedemdziesiąt procent.

— Auć. Przykro mi.

— Teraz może być już tylko lepiej, no nie?

— Nie ma jak twój słoneczny optymizm. — Troy zachichotał.

— Znasz mnie. — Poczulałam, jak kącik moich ust zadrżał.

— Walczę o każdego ucznia.

— I słusznie. A dom? Jak postępy?

— Nie ma się czym chwalić.

W ostatnim tygodniu skupiałam się na pracy. Codziennie jeździłam do miasta wcześniej rano i zostawałam w szkole do późna wieczorem, próbując uporać się z notatkami poprzedniej nauczycielki i chaotycznym systemem prowadzenia dokumentacji. Miałam wrażenie, że każdy uczeń ma inną wersję podręcznika, i albo wszyscy poddawali mnie jakiemuś dziwnemu testowi i się nade mną znęcali, albo nikt tak naprawdę nie wiedział, na jakim dziale skończyli, kiedy pani Riley odeszła przed feriami zimowymi.

Podróż z Cotters Lake do Dalton trwała trzydzieści minut, a kiedy co wieczór wracałam do domu, byłam zbyt zmęczona, żeby się zająć sprzątaniami. Jednak w ten weekend udało mi się wreszcie zacząć.

Wczoraj wyczyściłam szafki kuchenne, umyłam naczynia i wyszorowałam blaty, aby móc gotować i korzystać ze zlewu oraz kuchenki. Dziś rano spędziłam długie godziny w pralni, sprząając stare buty i kurtki oraz kolekcję sprzętów wędkarskich taty i przenosząc wszystko do komórki. Drzwi do jego pokoju pozostawały zamknięte — zdecydowanie nie byłam gotowa, żeby tam wejść i zająć się sortowaniem jego ubrań.

— Nie wiem, co zatrzymać, a co wyrzucić — powiedziałam do Troya. — A fakt, że tego nie wiem, sprawia, że czuję się winna.

Dobra córka, która знаła swojego ojca, nie wahałaby się ani chwili. Wiedziałyby, co on uważał za ważne. Co chciałby, żeby zatrzymała.

Dobra córka płakałaby nad stratą ojca.

Bycie tutaj bolało. Bolała tęsknota za nim. Żal, że go nie ma. Ale łzy nie pojawiły się ani razu. Jeszcze nie.

— Jesteś pewna, że chcesz przez to przechodzić sama? — zapytał Troy. — Możemy zatrudnić kogoś do sprząwania. Potem wystawisz dom na sprzedaż i zamkniesz ten rozdział.

— Nie — szepnęłam.

Nie żeby ta myśl nie przeszła mi przez głowę. Ale pomyśl, by pozwolić nieznajomej osobie przeglądać rzeczy mojego ojca, tylko pogłębiłby moje poczucie winy.

Może nie byłam o wiele lepsza od kogoś nieznajomego. Ale przynajmniej byłam jego. A on był mój. Poza tym, gdzie miałabym się podziąć?

— Muszę to zrobić — powiedziałam.

— W takim razie pozwól mi, proszę, przyjechać i pomóc. — To był już dziesiąty raz, kiedy proponował, że przyjedzie do Montany.

I po raz dziesiąty odpowiedziałam tak samo:

— Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

— Ilso.

Znowu usłyszałam swoje imię. Tym razem wypowiedziane bez litości, tylko ze zjadliwą dezaprobatą. Jakbym była dzieckiem, które trzeba skarcić.

Nigdy wcześniej nie słyszałam u niego takiego tonu. A może słyszałam, ale byłam tak zaślepiona miłością do niego, że to zignorowałam?

— Jak się ma Lori? — starałam się, by w moim głosie zabrzmiała jak największa szczerza ciekawość.

— Nie rób tego. Nie zmieniaj tematu.

— Nic nie robię. Doceniam twoją ofertę pomocy, ale to jest coś, co muszę zrobić sama.

Przejrzałam każdy karton po kolei. Zająłam się puszkami, kurzem i wszystkim innym, co odkryłam pod tym dachem.

Bo może gdybym się dowiedziała, kim był tata w ostatnich latach swojego życia, mogłabym podążać jego śladem. Aż do tego wczesnego wspomnienia, kiedy byłam szczęśliwą dziewczynką, która patrzyła na swojego ojca, jakby był dla niej całym światem.

Gdybym wróciła do początku, może znalazłabym moment, w którym się zgubiłam.

— Chcę być teraz przy tobie — powiedział Troy.

— Wiem.

I to właśnie było najgorsze. Gdybym poprosiła, żeby pojawił się jutro, rzuciłby wszystko i przyjechał z Arizony do Montany.

Ale bycie tutaj? To tylko kwestia geografii. Niezależnie od tego, czy byłby w moim salonie, czy w swoim, czy dzieliłoby nas tysiące mil, czy zaledwie kilka kroków, nic by się nie zmieniło. Mógłby tu być. I jednocześnie wcale ze mną nie być.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — nalegałam. — Jak się miewa Lori?

— Dobrze. Dzisiaj jest na zajęciach Jazzercise.

— Brzmi fajnie. — Zgrzytnęłam zębami. Pytanie o jego aktualną dziewczynę było jak czysta tortura, a jednak robiłam to uparcie przez ostatnie trzy miesiące, odkąd się dowiedziałam, że są parą.

Tamtego wieczoru, kiedy wróciłam do domu z kolacji, przed domem czekał radiowóz, a na ganku stał policjant, który poinformował mnie, że mój ojciec zmarł.

Byłam na tej kolacji z Troyem. To wtedy wyznał mi, że kogoś poznał i że Lori może być tą jedyną.

Może dlatego nie płakałam, kiedy ten policjant powiedział mi o tacie, bo moje serce już było złamane.

Byłoby łatwiej, gdyby tylko Lori nie była taką uroczą osobą! Była przekochana, a podczas tych kilku spotkań, kiedy wyszliśmy na drinka we troje, zachowywała się idealnie. Rozpieszczała Troya, ciągle go dotykała, chwaliła i przechwalała się nim, jakbym nie wiedziała, że jest mądry, zabawny i czarujący.

Jakbym też go nie kochała.

Ja poznałam Troya pierwsza, ale to nie miało znaczenia. Jakos nigdy nie udało nam się wstrześcić w dobry moment.

Przez lata udawaliśmy, że wzajemne przyciąganie między nami nie istnieje. Na początku nie chciałam ryzykować naszej przyjaźni, a kiedy w końcu zdobyłam się na odwagę, by wyznać, co do niego czuję, było już za późno. Poznał kogoś innego.

Suzie. Potem Hollie. Potem Brendę. Potem Tiff.

Nie czekałam. Żyłam dalej, umawiałam się na randki i próbowałam znaleźć kogoś wyjątkowego dla siebie. Żadne z nas

nigdy nie przyznało, że liczy na coś więcej niż przyjaźń. Ale uczucia były. I nadzieja, że ten właściwy moment prędzej czy później nadejdzie.

Trzy miesiące temu, po raz pierwszy od lat, tak się złożyło, że oboje byliśmy singlami. Kiedy Troy zaprosił mnie na kolację, pomyślałam, że to randka. W końcu.

Głupia ja.

Opowiedział mi wszystko o Lori przy paluszkach chlebowych w mojej ulubionej włoskiej restauracji.

— Rozmawiałaś z mamą? — zapytał.

— Nie, dałam jej tylko znać, że dotarłam do Dalton.

Mama nie chciała słyszeć o tym, jak mi idzie w Montanie. Była poirytowana, że przeprowadziłam się ponad tysiąc mil dalej, żeby posprzątać bałagan po tacie. Nie mogła zdzierżyć, że nie wzięłam po prostu tygodnia urlopu, raz, dwa nie ogarnęłam chaty i nie wróciłam do domu. Obwiniała go za to, że opuściłam Arizonę. Ale to wszystko było tylko zasłoną dymną, aby mogła ukryć złamane serce.

Przez całe życie kochała ojca, nawet po tym, jak złożyła pozew o rozwód. Nigdy nie wyszła ponownie za męża. Nigdy nie wykazywała zainteresowania żadnym innym mężczyzną. Jednak mimo że tak mocno kochała tatę, równie mocno go nienawidziła.

Nienawidziła go za to, że wybrał Montanę zamiast niej.

Dwadzieścia lat temu, kiedy wykrzyczała mu, że nie może już dłużej tu mieszkać, że nie zniesie kolejnej surowej zimy i potrzebuje czegoś więcej niż to, co ma do zaoferowania jego małe miasteczko, pozwolił jej spakować nasze walizki. Stał przed tą właśnie chatą i patrzył, jak odjeżdżamy.

Mama wielokrotnie mi powtarzała, że przyjazd do Montany był błędem. Że tacie nie zależało na mnie na tyle, by

opuścić Dalton, więc dlaczego ja byłam gotowa porzucić swoje życie, żeby posprzątać jego bałagan?

Może miała rację.

Może gdyby tata nie napisał do mnie tego listu, zostałabym daleko, bardzo daleko.

Ale od chwili, gdy list dotarł do mojej skrzynki pocztowej, dokładnie dwa dni po śmierci ojca, nie mogłam tak po prostu o tym zapomnieć.

Kiedy więc w szkole średniej, w której uczyłam w Phoenix, semestr dobiegł końca, spakowałam swoje życie i odstawiłam na przechowanie do garażu mamy. A potem, mimo protestów zarówno mojej rodzicielki, jak i Troya, przeprowadziłam się do Montany.

Cudem udało mi się znaleźć pracę w zawodzie, ale tylko tymczasowo, w ramach zastępstwa za nauczycielkę na urlopie macierzyńskim. To nie był problem, bo przecież nie zamierzałam zostawać w Dalton.

Może po zakończeniu roku szkolnego, jak już posprzątam i sprzedam domek taty, przeprowadzę się na Wschodnie Wybrzeże. Do Connecticut? A może spróbuję w Kalifornii czy Kolorado. Gdzie? To był temat na inny dzień. Wiedziałam tylko, że Arizona to już przeszłość. Mama mogła zatrzymać sobie swoje słońce i upalne lata. Chciałam mieszkać w miejscu, gdzie są cztery pory roku.

— Wiesz już, kiedy będziesz mogła wrócić do domu? — zapytał Troy.

Powiedzenie mu, że nie zamierzam wracać, to też temat na inny dzień.

— Nie. Ale lepiej się rozłączę, zanim ta rozmowa stanie się zbyt droga.

— Stać mnie na połączenia międzystanowe, Ilso.

— Wiem. Ale chciałabym jeszcze trochę popracować przed pójściem spać.

— W porządku. Nie pracuj zbyt ciężko.

— Nic nie obiecuję.

— Do usłyszenia w przyszłą niedzielę?

— Będę tutaj.

Pomimo dręczącego mnie uczucia, że nasza przyjaźń dobiega końca, w niedzielę będę tutaj i odbiorę telefon natychmiast, gdy tylko zadzwoni.

— Martwię się o ciebie — powiedział.

— To się nie martw. Nic mi nie będzie.

Parsknął lekceważąco.

— I tak będę się o ciebie martwił, Ilso. Kocham cię.

To było jak cios nożem prosto w serce. Kochał mnie? Czy ja go kochałam? A może Troy był po prostu wygodny, jak ulubiony stary T-shirt?

Nawet jeśli to była miłość, nic z tego nie miało znaczenia. Dawno temu, w tym właśnie domu, nauczyłam się, że miłość to za mało.

— Dobrego tygodnia — pożegnałam się i rozłączyłam.

Nieważne, ile razy dzwonił, nigdy nie kończyłam rozmowy, mówiąc „do widzenia”. W głębi serca zbyt się bałam, że potraktuje to jako pozwolenie, by przestać dzwonić.

— Boże, co ja najlepszego wyprawiam? — zapytałam, zwracając się w stronę wieży z kartonów. Niestety, kartonowa wieża milczała, gdy rozglądałam się po pokoju. — Jakie są szanse, że wszystkie zawieracie puszki?

Cóż, był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Kolejne pudło, które wyciągnęłam ze stosu, było pełne zdjęć. Zatańczyłam je do kuchni, wyjęłam fotografie i rozłożyłam na blacie.

Były to zdjęcia polaroidowe, większość wyblakła do czerni, bieli, brązu czy szarości. Ale twarz w każdej kwadratowej, białej ramce należała do mnie. Każde zdjęcie przedstawiało mnie podczas którejś z letnich wizyt.

Poczułam pieczenie w nosie, w gardle pojawiła się gęsia skórka, ale oczy pozostały suche.

Nie płakałam, kiedy policjant powiedział mi o śmierci taty. Nie płakałam podczas dwudniowej podróży samochodem z Phoenix do Dalton. Nie uroniłam ani jednej łzy od momentu przyjazdu do Montany, nawet kiedy przekroczyłam próg domu.

Ike był nieobecny dla swojej gównianej córki.

Żadne z nas nie zasługiwało na łzy.

Wybrałam sobie ulubione fotki z ogromnej sterty i zsunęłam resztę z blatu, wrzucając do pustego pudła, które dołączyło do pozostałych na podjeździe.

Następny karton zawierał skarpety i białe T-shirty — wszystko idealnie złożone w schludne kwadraty.

To tata nauczył mnie, jak składać ubrania. Mama była beznadziejna, jeśli chodzi o pranie, zadowolając się wyciąganiem czystych ubrań z kosza, zamiast odkładać je do zaniedbanych szuflad komody. Po naszej przeprowadzce do Arizony, podczas moich pierwszych odwiedzin latem tata zobaczył moją niechlujną walizkę i stos ubrań na podłodze, więc postanowił nauczyć mnie je składać.

Pieczenie w nosie się wzmogło.

Zamknęłam wieko, nie ruszając niczego w środku. Nie było sensu, żebym zatrzymywała jego T-shirty i skarpety, ale zamiast wynieść na zewnątrz, odstawiłam karton na półkę w pralni. Nie mógł wprowadzić na zawsze stać obok proszku do prania i wybielacza, ale chwilowo jeszcze nie byłam gotowa wyrzucić jego ubrań.

Kolejne pudło było równie tajemnicze jak puszki. Od góry do dołu wypełniały je białe papierowe serwetki, a każda z nich była ozdobiona starannym pismem taty. Wyjęłam jedną z wierzchu stosu.

Była to lista rzeczy do zrobienia, z dużą literą na początku i kropką na końcu. Każda pozycja była przekreślona prostą linią, z wyjątkiem ostatniej.

~~Kupić pomarańcze.~~

~~Skosić trawnik.~~

~~Wymienić olej.~~

Napisać list do Ilsy.

List.

To zadanie nie było przekreślone, przynajmniej nie na tej serwetce. Czy w tym pudle znajdę taką, na której je odhaczył? Bo przecież napisał ten list. Był w mojej torebce, bezpiecznie schowany w kopercie, w której przyszedł.

Dlaczego zachował te zadania spisane na serwetkach? Tworzenie ich było w pewnym sensie normalne. Ale ich przechowywanie? Już niekoniecznie.

Puszki. Listy zadań.

Śmieci.

Wszystko wskazywało na to, że w ostatnich dniach życia mojego ojca jego zdrowie psychiczne uległo pogorszeniu. Były to oznaki, których nie zarejestrowałam, ponieważ nie było mnie w pobliżu.

Tata zadzwonił do mnie zeszłego lata i błagał, żebym przyjechała. Po raz pierwszy od lat zaprosił mnie do Dalton. „Przyjedź mnie odwiedzić, misiu pysiu. Spędź tydzień nad jeziorem. Jest wiele spraw, o których chciałbym z tobą porozmawiać”.

Dobra córka podjęłaby ten wysiłek. Ja jednak skupiałam się na wymyślaniu wymówek i udowadnianiu swojej racji.

W ciągu dwudziestu lat tata ani razu nie przyjechał do mnie do Phoenix. Nie było go na zakończeniu szkoły. Na urodzinach. Podczas Bożego Narodzenia. Dlaczego ja miałabym się spieszyć z wyjazdem do Montany w czasie letnich wakacji?

Odmowa była moją formą zemsty.

Poczucie winy i żal, gęste jak smoła, pełzały mi w żyłach. Czy to by coś zmieniło? Czy udałoby mi się mu pomóc? Na te pytania nigdy nie znajdę odpowiedzi.

Do domku wdarł się podmuch zimna, więc podeszłam do kominka i dorzuciłam kolejne polano.

Przynajmniej nie musiałam rąbać drewna. Tata zgromadził przy drzwiach wejściowych zapas, który wystarczyłby mi na dwie zimy. Nie żebym zamierzała zostać dłużej niż jedną.

Gdy ogień rozgorzał na nowo, spróbowałam objąć wzrokiem bezmiar pudeł, czując, jak moja energia słabnie. Boże, było ich tak wiele. Jutro po pracy odgruzuję kanapę.

Przemknęłam wąską ścieżką przez ten bałagan, zamierzając wślizgnąć się do sypialni, włożyć parę ciepłych skarpet i flanelową piżamę, żeby poczytać przez kilka godzin przed snem. Z ręką zawieszoną nad włącznikiem światła ponownie rzuciłam okiem na pudła.

I w brudnym oknie w kuchni zobaczyłam kogoś w ciemnej kominiarce.